

Polska Matka Teresa

Rozmowa z reżyserem Pawłem Wysoczańskim na temat filmu dokumentalnego o lekarce Helenie Pyz, która sama będąc na wózku inwalidzkim, od wielu lat pomaga trędowatym w Indiach.



Paweł Wysoczański

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Na tegorocznym Festiwalu Polskich Filmów w Austin będziemy pokazywać Twój film dokumentalny „Jutro czeka nas długi dzień”. Jest to poruszająca historia lekarki i misjonarki świeckiej, Heleny Pyz, która sama będąc na wózku inwalidzkim, od ponad trzydziestu lat pomaga ludziom w Indiach, w Ośrodku Rehabilitacji Trędowatych w Jeevodaya. Co takiego poruszyło Cię w tej historii, że postanowiłeś ją opowiedzieć?

Paweł Wysoczański:

Najważniejsza jest dla mnie bohaterka Helena oraz to, co uosabia. Poświęcenie drugiemu człowiekowi, gotowość do pomagania na drugim końcu świata – w Indiach. Praca z wykluczonymi i niechcianymi, mimo własnej niepełnosprawności. Film o Helenie nie jest jednak laurką. To nie jest opowieść o super bohaterce. To dla mnie bardzo ważne. Stawianie pomników w filmie mnie nie interesuje. Helena jest twarda, czasem szorstka, może bezwzględna. Mam nadzieję, że widz po obejrzeniu filmu zrozumie, dlaczego Helena czasem taka bywa. Rzeczywistość w jakiej żyje moja bohaterka jest twarda. Ona musi wszystkiemu sprostać.

Ośrodek dla trędowatych założył polski ksiądz-misjonarz, pallotyn, dr nauk medycznych Adam Wiśniewski, który zmarł w Jeevodaya w 1987 r. Helena Pyz przyjechała w

1989 r., aby kontynuować jego posłannictwo. Jak Helena Pyz zdobywała zaufanie ludzi z innego dla niej świata?

To dobre pytanie. Sam często je sobie zadawałem. Kiedy Helena przyjechała do Jeevodaya w 1989 roku nie mówiła w hindi, świat Indii był jej zupełnie obcy, opowiadała mi, że kiedy przyjechała było tak gorąco, że pasta do zębów parzyła ją w zęby. Helena jest innego wyznania niż osoby z którymi pracuje, jest wykształconą Europejką pracującą z ludźmi, którzy są często analfabetami. Mimo to jest w Jeevodaya od 33 lat. Jak sama mówi w filmie – jej niepełnosprawność pomaga jej. Chorzy w Jeevodaya nie mogą powiedzieć Helenie: ty nie wiesz jak to jest. Helena przez lata nauczyła się płynnie mówić w języku hindi, ale co najważniejsze – nauczyła się komunikować z miejscowymi dzięki empatii i zrozumieniu, jakie wykształciła w niej jej własna choroba. To jest silna osoba. Jej wrażliwość jest również silna. Wyjątkowa.



Helena Pyz, kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański



Nandani, kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański

W filmie widać silną więź, którą bohaterka nawiązała m.in. z dziećmi. Wzruszające są sceny z Nandani - dziewczynką, która nie może się z lekarką rozstać i chce z nią pojechać nawet do dalekiej Polski. Jak udało się nakręcić takie głębokie sceny, które wydają się autentyczne, nie inscenizowane?

Nandani rzeczywiście jest skarbem. W sensie ludzkim, ale również na ekranie. To urodzona bohaterka. Nandani zapominała o obecności kamery, nie przejmowała się ekipą, nie zwracała uwagi na operatora, dźwiękowca i reżysera. W filmie nie ma inscenizowanych scen, nic nie zostało wymyślane, nie było scenariusza, ale mimo że byliśmy w Indiach u bohaterki siedem razy – nie wszystkie sceny udało się nam zarejestrować. Niektóre sceny są zatem odtwarzane. Nie jest ich wiele, ale dla dramaturgii filmu zdecydowaliśmy się na taki zabieg. Nie chcieliśmy żadnych „gadających głów” w filmie, żadnych wywiadów.

Film był kręcony głównie w Indiach. Czy tamtejszym ludziom łatwo było zaakceptować, że ich historia stanie się częścią filmu?

Tak. Hindusi kochają oglądać filmy, ale również występować przed kamerą. Był to nawet pewien problem, ponieważ przy pierwszych wyjazdach do Jeevodaya, liczba dzieci chcących

wystąpić w filmie była tak duża, że przed naszą kamerą cały czas ktoś niechciany „występował”, przechodził, machał. Nie tylko dzieci tak reagowały. Wszyscy dorośli z Jeevodaya chcieli być częścią filmu.

Gdzie leży granica pomiędzy tym co prywatne, a tym, co można pokazać. Jak nakręcić prawdziwy film, żeby jednocześnie nie zrobić komuś krzywdy?

Podstawową zasadą w filmie dokumentalnym jest dla mnie nie krzywdzić bohatera. Ja zawsze każdemu swojemu bohaterowi pokazuję swoje filmy przed wypuszczeniem ich w świat. Do Jeevodaya do Heleny przyjechałem po raz ostatni specjalnie po to, aby pokazać jej gotowy film. Nie miała zastrzeżeń.



Kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański



Kadr z filmu „Jutro czeka nas długi dzień”, reż. Paweł Wysoczański

Jak film został przyjęty? Czy słysząc głosy, że film komuś pomógł, że przykład nieustrudzonej Heleny Pyz, zainspirował?

Film inspiruje wiele osób. Widzowie zwracają uwagę, że nie mieli pojęcia że są ludzie, którzy poświęcają całe swoje życie, aby ratować innych. Co innego pojechać pomagać na 6 miesięcy życia, co innego spędzić w Indiach 33 lata jak Helena. Dzięki filmowi przybywa też darczyńców Jeevodaya, z datków bowiem Jeevodaya jest utrzymywane.

Byłeś już w Austin z bardzo ciekawym filmem „Jurek” o alpinistcie Jerzym Kukuczce. Zresztą każdy Twój film porusza jakiś ważny temat i czegoś uczy. Czy dlatego wybrałeś film dokumentalny jako swoją drogę?

Kocham kino. Filmy dokumentalne realizuję, ponieważ ciekawią mnie prawdziwi ludzie, bohaterowie „z krwi i kości”. Staram się robić filmy dokumentalne tak jak filmy fabularne – aby były wartkie, miały napięcie, dobrze zbudowaną dramaturgię, nie tylko „ciekawego” bohatera. Ciągnie mnie zatem również do filmu fabularnego, który obecnie przygotowuję. Skończyłem pierwszą wersję scenariusza. To będzie współczesna historia rozgrywająca się na Śląsku.

Teraz realizujesz film o słynnym immunologu, Ludwiku Hirszfeldzie. Czy możemy się spodziewać, że w przyszłym roku zobaczymy ten film na Festiwalu w Austin?

Mam ogromną nadzieję, że film „Mensch” zostanie pokazany w Austin. Ludwik Hirszfeld to niezwykła postać. Inspirująca. Idealista, którego losy przypadają na I połowę XX wieku. Czasy, w których żył spowodowały, że ciągle był niszczone. Jednak podnosił się po kolejnych tragediach i robił swoje. Pełnometrażowa wersja filmu pt. „Mensch” będzie dostępna od przyszłego roku, ale już teraz można zobaczyć zwiastun filmu:

hasło: hirszfeld

Więcej informacji na stronie

festiwalu: <https://www.austinpolidshfilm.com/>

„Jutro czeka nas długi dzień” - zwiastun:

Dom na wzgórzu



Kira Banasińska, ok. 1930 r., fot. (w:) Małgorzata Reinhard-Chlanda, Kira Banasińska - Seventy Years in India. From Diplomacy to Kaybee, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie i Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata w Warszawie

Ryszard Sawicki (*Namysłów*)

Wzgórze nad pałacem gubernatora nie było wysokie, lecz rozciągał się stamtąd rozległy widok Hydarabadu. Widać też było całe jezioro leżące tuż za miastem. Kiedy ściany niskich domostw w ubogich przedmieściach sąsiadujących z jeziorem oświeślało jaskrawe indyjskie słońce, tafla jeziora ciemniała jak głębokie zwierciadło, w którym odbijały się chmury, lub jaśniała, zależnie od tego skąd padały promienie słońca. Lśniąca powierzchnia wody kontrastowała z matowymi ścianami zabudowań. Także i korony drzew, rosnących przy niektórych ulicach, w ogrodach i

na skwerach, były matowe, bo przed nadejściem monsunu pokrywał je szaro-brunatny pył. W okresie, gdy przychodziła pora rozrostu wodnych lilii, jezioro znikало niemal zupełnie pod liśćmi. Jednego dnia zauważyć można było tworzące się na powierzchni wyspy, na drugi dzień jeziora już nie było widać, przyrost roślin był błyskawiczny.

Widok Hydarabadu ze wzgórza nad miastem zapamiętałem wyraźnie, chociaż nie rozpoznałbym żadnych ulic ani placów. Pamiętam też dom na szczycie wzgórza, w którym byłem gościem. Mieszkały w nim dwie stare kobiety, jedna z córek byłego nizama Hydarabadu i jej przyjaciółka, **Kira Ćwirko-Godycka**, po mężu **Banasińska**, ciotka mojej znajomej **Aleksandry Dolly Korewy**. Dolly przyjechała do Indii wcześniej niż ja, spotkaliśmy się na wiosnę 1977 roku u znajomych mego stryja, państwa Dowgiałłów, którzy mieszkali wtedy w New Delhi. Mieszkając dość długo u swej ciotki, Dolly przeglądała stare archiwum z okresu drugiej wojny, robiła notatki by potem, po powrocie do Europy napisać artykuł. W drodze powrotnej do Warszawy została jednak okradziona jeszcze w Pakistanie, podczas zamieszek jakie wybuchły po śmierci Ali Bhutto. Razem z bagażem i wszystkimi rzeczami osobistymi, przepadły jej notatki i moje filmy ze zdjęciami ze Wschodniej Turcji, Iranu, Afganistanu, Indii i Pakistanu, które dałem Dolly z prośbą o wywołanie w Europie (ja nie zamierzałem wracać do Polski, chciałem zostać dłużej w Azji, potem wybierałem się do

Australii). Artykuł nie został nigdy napisany.

Od mojego pobytu w willi nad pałacem gubernatora upłynęło ponad dwadzieścia lat. Niedawno we Wrocławiu oglądałem u Julity Korewy zdjęcia Pani Kiry zarówno z okresu indyjskiego jak i wcześniejszych lat spędzonych przez nią i jej męża w Japonii. Czytałem też kilka listów, które napisała do rodziny. Zobaczyłem jeszcze raz, wywołaną z pamięci, postać starszej pani jak machała na pożegnanie ręką z podjazdu przed domem, kiedy w drodze na stację kolejową zjeżdżałem starym samochodem prowadzonym przez jej kierowcę po nieco wyboistej, nie wybrukowanej, ani nie pokrytej asfaltem ulicy, prowadzącej w dół do miasta.

Na zdjęciach, które Julita wydobyła z pudełka w swoim wrocławskim mieszkaniu, pani Kira wygląda inaczej niż ją zapamiętałem. Jest młodą, piękną kobietą cieszącą się pełnią życia. Pojawia się przy chińskiej bramie słońca, siedzi w wygodnym płóciennym fotelu ustawionym na pokładzie jachtu płynącego po azjatyckiej zatoce. Z mężem-dyplomata siedzą obydwoje w japońskim ogrodzie. Zdjęcia nie są opisane dokładnie, nie wiadomo więc w jakim parku ani na jakim jachcie zostały zrobione. Z listów do rodziny nie można wyłowić ani dat, ani nazw. Przeglądając wspomnienia przyjaciela rodziny Banasińskich, **Wacława Jędrzejewicza**, nestora polskiej irredenty, dyplomaty i badacza najnowszej historii Polski, też nie

zdołałem znaleźć dokładniejszych danych. Za to znalazłem na kartach jego wspomnień wiele ciepłych słów o pani Kirze, które opisują ją taką jaka była w czasie pobytu w Japonii.

W rozdziale zatytułowanym „Pierwsze miesiące” (chodzi o początki pracy w polskim poselstwie w Tokyo), Jędrzejewicz wymienia pracowników poselstwa, także doktora Eugeniusza Banasińskiego, który „prowadził sprawy finansowe i konsularne poselstwa oraz opracowywał zagadnienia ekonomiczne”. Mówi, że doktor Banasiński „był żonaty z Kirą Ćwirko-Godycką, którą poznał w Harbinie, gdzie zamieszkiwała jej matka”, i że „mieli córkę Lilkę”. O samym Eugeniuszu wspomina iż „był to człowiek bardzo inteligentny, miły i łatwy w obejściu, dobrze znający teren”. Jędrzejewicz ułatwił Banasińskiemu wejście do regularnej służby zagranicznej.

W rozdziale zatytułowanym „Mandżuria”, Jędrzejewicz napisał, że Kirę Banasińską poznał jeszcze w Harbinie, gdzie

obie z matką zorganizowały bardzo piękne przyjęcie” dla niego, jako podróżującego polskiego dyplomaty. Rozdział pod tytułem „Jesień - zima 1925 - 1926” zaczyna się od zdania: „po parotygodniowym pobycie w Harbinie wyjechaliśmy z panią Banasińską i Lilką kolejką do Dairenu, po czym statkiem do Kobe i znowu koleją do Tokyo, gdzie oczekiwało

mnie wiele pracy przy zorganizowaniu biura attaszatu.

Rozdział zatytułowany „Kierownictwo poselstwa w Tokyo” zawiera znów kilka zdań o pani Kirze w związku z napadem na biuro attache wojskowego Sowietów w Pekinie, które przeprowadził marszałek Czang-tso-lin. Zabrano tam stosy rosyjskich dokumentów, a Jędrzejewicz był jedynym cudzoziemcem, którego rząd japoński powiadomił o tym i w wielkiej tajemnicy wręczył fotokopie paruset z nich celem ich przeфотографowania dla użytku polskiego sztabu generalnego. Pomagała mu w fotografowaniu dokumentów pani Kira.

Miałem bardzo dobry aparat fotograficzny – pisze Jędrzejewicz – toteż przy pomocy Kiry Banasińskiej przez wiele nocy fotografowaliśmy dokumenty w poselstwie i niezwłocznie wywoływaliśmy klisze w prowizorycznej ciemni. Było to w lecie, w upalne noce. Bardzo męczyliśmy się nad tą pracą – dodaje Jędrzejewicz.

W rozdziale o trzęsieniach ziemi, Jędrzejewicz też wspomina Kirę. Któregoś dnia, gdy mieszkał razem z Banasińskimi w Hajama, nad morzem, ich japoński domek zatrzęsł się tak,

że w jednej chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, każdy jak stał, a Kira Banasińska, która właśnie brała kąpiel, wyskoczyła z wanny jak ją Bóg stworzył.

Ostatni raz pojawia się pani Kira we wspomnieniach Jędrzejewicza z roku 1928. W związku z odwołaniem Jędrzewicza do Warszawy, jego następcą, major dyplomowany Henryk Floryan-Rajchman zegnał go na dworcu w Tokyo. „Rajchman i Kira Banasińska odprowadzili mnie do następnej większej stacji”. Nie wiem, czy Jędrzejewicz bywał w czasie wojny i po jej zakończeniu u państwa Banasińskich w Bombaju. Wiem tylko od niego, że pisywali do siebie listy. Odnaleźć je było by dziś trudno. Dlatego listy do rodziny są jednymi z nielicznych dowodów ich barwnego życia. Szkoda, że przez wiele lat pani Kira nie mogła kontaktować się z rodziną w Polsce, może byłoby dziś więcej takich listów jak ten, adresowany do Onufrego Korewy, z datą 20 stycznia 1965 roku.

Kochany Onusiu! Nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo ucieszył mnie Twój list. Znalazłam go na podłodze w biurze, gdyż był podsunięty pod drzwi przez listonosza po godzinach pracy i wprost nie mogłam sobie uprzytomnić, że to istotnie list od Ciebie. Tyle lat upłynęło od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni, tyle zmian i w Waszym życiu i moim. Ciekawa

jestem jakimi drogami natrafiliście na mnie – przypuszczać tylko mogę, że przez „Cyriakę”, gdyż żadnej innej prócz mnie dotychczas nie spotkałam. Musimy się znowu zapoznać i przerzucić most przez tę olbrzymią przepaść lat. O ile sobie przypominam, od pewnego czasu Ojciec był z Wami w kontakcie, więc chyba pewne szczegóły z mego życia były dla Was znane – jednakże zacznę od Harbina bo to było bezpośrednio po wyjeździe od Was. W Harbinie wyszłam za mąż, tam urodziła się nasza córka, Lygia Janina. Od dwudziestego szóstego do trzydziestego pierwszego roku byliśmy w Japonii, gdzie mąż mój był kierownikiem Wydziału Konsularnego przy Poselstwie w Tokio. Stamtąd wróciliśmy do Warszawy i w trzydziestym trzecim roku mąż był mianowany konsulem, później konsulem generalnym na Indie. Lygia skończyła szkołę w Bombaju i mając siedemnaście lat wyszła za mąż za Anglika. Ich często przerzucają z miejsca na miejsce, lecz obecnie są w Londynie. Syn ich, Jocelyn Seweryn wkrótce kończy Cambridge. Jest bardzo przystojny, inteligentny, wesoły i miły. Po polsku nie mówi. W trzydziestym ósmym byłam w Kraju, widziałam wtedy Ojca po raz ostatni. Wiecie zapewne, że umarł w grudniu czterdziestego roku. Dowiedziałam się o tem dopiero po powrocie do Indii po zakończeniu wojny z listu p. Juskiewiczowej, który dotarł do mnie z kilkuletnim opóźnieniem. Podczas wojny starałam się go odszukać, pisałam przez Szwajcarski Czerwony Krzyż i inne

organizacje, lecz wszystko było bezskuteczne. Byliśmy w Indiach do końca czterdziestego czwartego roku. W okresie wojny, jako delegat Polskiego Czerwonego Krzyża na Indie oraz delegat Polskiego Ministerstwa Opieki Społecznej, prowadziłam wszystkie sprawy azylu i osiedli naszych uchodźców w Indiach oraz obozów przejściowych w Karachi, jak również sprawy zaopatrzenia transportów do Afryki i innych krajów, gdzie ich przerzucano. Pod koniec czterdziestego czwartego roku wyjechaliśmy do Londynu gdzie mąż dostał przydział do MSZ, ale już się wszystko kończyło. Dlatego wróciliśmy po roku do Indii, gdzie mieliśmy wielu przyjaciół. Po kilku latach, nie wiem w jaki sposób, wpadłam na pomysł zapoczątkowania warsztatu wyrobów z drzewa dla szkół. Z biegiem lat zaczął się mój warsztat rozwijać, tak, że obecnie mam kompletnie zmechanizowaną fabrykę pomocy szkolnych dla dzieci od dwóch do sześciu lat. Mam przeszło siedemdziesięciu robotników. Fabryka idzie nieźle ze względu na olbrzymi rozwój szkolnictwa w Indiach. Ostatnio moje wyroby znalazły zbyt też w Ameryce. Jednakże prowadzenie tego wszystkiego nie jest rzeczą łatwą odkąd jestem zupełnie sama. Za życia męża, on prowadził biuro, ja fabrykę, lecz po jego śmierci wszystko spadło na mnie. Ani Lygia ani jej mąż ani nawet ich syn nie mają zamiaru tutaj się instalować. Mąż Lygii jest w wojsku i jak na swój wiek w dość wysokiej randze. Ma przed sobą jeszcze dobrych parę lat czynnej służby. Jeśli miałabym

określić jednym zdaniem jak żyję, to powiedziałabym, że żyję jak robot. Jestem w pracy od siódmej rano do późnej nocy. Wstaję o szóstej, a wracam do domu dopiero około dziesiątej, szalenie zmęczona. Najczęściej zasypiam w fotelu i dopiero służący budzi mnie do obiadu. Po obiedzie znów coś załatwiam. W ogóle nie rozstaję się z teczką. Różne akta i papierki jeżdżą ze mną stale tam i z powrotem, aż znajdę dość czasu i sił aby je pozałatwiać. Jestem tak uwięziona sprawami fabryki, że chyba nigdy nie będę mogła wydostać się z Indii. Ponieważ jednak praca ta, a szczególnie jej wyniki dają mi wielką satysfakcję, nie tyle finansową co moralną, dzieci radzą mi abym tu pozostała tak długo aż mi się to wszystko znudzi i wtedy dopiero przerzucić się do Anglii aby na stare lata być gdzieś niedaleko od nich.

Mam tutaj niewielkie mieszkanie w mieście, które odziedziczyłam po matce. Zmarła ona w Bombaju w sześćdziesiątym pierwszym roku. Poza tym mam bardzo przyjemny domek z liści palmowych nad morzem w Juhu. Jadę tam zazwyczaj w sobotę wieczorem i w poniedziałek rano wracam wprost do fabryki. W Juhu niby odpoczywam, lecz to raczej teoretycznie. W praktyce wygląda to całkiem inaczej, gdyż właśnie w niedzielę odwiedzają mnie moi przyjaciele, którzy przyjeżdżają tam aby się wykąpać w morzu i poddychać świeżym powietrzem. Gospodarstwo w tych moich dwu pied-a terre'ach idzie jakoś samo, bez

większego zachodu z mojej strony, gdyż i w Bombaju i w Juhu od wielu lat mam tę samą służbę.

Wszyscy, zarówno wy jak i ja, jesteśmy mniej więcej w jednym wieku, przypuszczam więc, że mamy te same dolegliwości. Jeśli chodzi o mnie, na ogół czuję się jednak nieźle, ale czasem coś tam zaczyna dolegać. Naturalnie, że z sercem wszystko nie jest w porządku, ale jakoś się trzymam, daję sobie radę ze wszystkim i pracuję za trzech.

Chciałabym bardzo wiedzieć jakie były koleje losów Waszej Rodziny. Wspominasz w liście Tadziów, Kletów, Jadzię... Czy ktokolwiek z nich ma dzieci, wnuków? Napisz koniecznie, czy Ty również masz żonę, dzieci. Proszę wszystkich ode mnie uściskać.

Ściskam Ciebie i całuję serdecznie, Kira.

Ślę też wiele dobrych życzeń na sześćdziesiąty piąty rok dla całej Waszej Rodziny.

List był opatrzony adresem zwrotnym: 12 Gunbow Street, Fort, Bombay 1. Ani zdjęcia domu w forcie ani z Juhu Beach nie dotarły do Julity Korewy do Wrocławia. „Cyriaka” to oficjalne, pełne imię pani Kiry. Zwrot „bezpośrednio po wyjeździe od Was”

dotyczy pobytu pani Kiry w domu dziadka Julity Korewy, Ignacego, który był zarządcą kopalni azbestu i szmaragdów na Uralu albo w domu brata Ignacego w Irkucku, który był inżynierem kolejowym zatrudnianym przy budowie kolei koło Bajkału i kolei transsyberyjskiej. To „ostatnie spotkanie” miało miejsce w 1916 roku.

Na zdjęciu z wnętrza magazynu fabrycznego pani Kira stoi przy półkach wypełnionych drewnianymi klockami, zwierzętami i obrazkami. Rozmawia z jednym ze swych pracowników. Może był to kierownik magazynu, a może dyrektor fabryki, którego pani Kira zatrudniła po usilnych namowach przyjaciela rodziny, przemysłowca i filantropa pochodzenia perskiego o nazwisku Tata (samochody ciężarowe z jego nazwiskiem można i dziś zobaczyć na wszystkich drogach Indii). Była to dla niej trudna decyzja, bo choć nawał pracy męczył, to jednak „dawał satysfakcję moralną”.

Pani Kira skarży się na problemy z fabryką także w liście z 19 grudnia 1974 roku (list był wysłany z Hyderabadu, gdzie zamieszkała po opuszczeniu Bombaju).

Kochany Onusiu!

Parę dni temu dostałam list od Dolly, cóż to za miła

niespodzianka. Jak tylko znajdę wolną chwilę – odpiszę. Na razie proszę ją serdecznie uściskać i przekazać jej moje najlepsze życzenia świąteczne. Jestem tak niesamowicie zajęta, że po powrocie do domu nawet do córki nie mam siły napisać. Pięć miesięcy temu zostałam prababką. Mój wnuk Jocelyn był przez pięć lat w Bangkoku i tam się ożenił z Thajką. Właśnie urodził się im syn, któremu dali na imię Thomas. Są teraz w Londynie, a ja już teraz zostałam całkiem sama w Indiach. Żebyś wiedział jakie niesamowite kłopoty mam z fabryką i jak trudno jest pracować w przemyśle wybaczyłbyś mi tak długie milczenie. Ślę moc najserdeczniejszych życzeń noworocznych dla Ciebie, Julity i Twoich najbliższych.

P.S. Przypomniałam sobie, że był tu rok temu profesor Urbański. Czy to jest jakiś krewny Dolly? Jest teraz w Polsce. Gdybyś go spotkał to mógłby opowiedzieć o mnie gdyż był u mnie parę razy na obiedzie. Wrócił również do Warszawy po pięciu latach spędzonych w Hyderabadzie doktor Z. Zieliński. Był tu szefem misji International Labour Organisation. Zgubiłam jego adres lecz mógłbyś go odnaleźć przez biuro adresowe. On i jego żona Janka często bywali u mnie w fabryce. Ściskam, Kira.

Do natłoku problemów, które wymagały natychmiastowego

rozwiązania pani Kira przyzwyczaiła się w okresie wojennym. Organizacja i prowadzenie obozów dla uchodźców były zadaniami trudniejszymi niż prowadzenie fabryki. Osiedla i obozy, które powstały w Karachi, a potem w innych miejscowościach przyjęły wielu uchodźców z Sowieckich łagrów, między innymi czwórkę moich kuzynów. Kobiety i dzieci, które wydostały się z „niehumanitarnej ziemi” z wojskiem generała Andersa nie mogły podążać do Europy wojennym szlakiem armii. Nim zagłodzone i schorowane zdolne byłyby przetrwać dalszą podróż, musiały nabrać sił jeszcze w Azji. Pani Kira i jej hinduscy oraz brytyjscy przyjaciele zapewнили im godziwe warunki bytu. O jednym z takich osiedli pisał Stanisław Wujastyk w *Sunday Standard* wydawanym w Bombaju (numer z jedenastego listopada 1979 roku). Artykuł był też opublikowany w języku polskim w 1778 numerze londyńskich „Wiadomości” (27 kwietnia 1980).

Dadu Lokhande, Maruti Bhosle i Sadku Gavalt są prostymi ludźmi z przydrożnej wioski Gandhinagar, leżącej pięć kilometrów od Kolhapur. Nic ich nie wyróżnia od reszty zwyczajnych ludzi z tych stron – pisał Wujastyk. Gdyby jednak zawitał do tej wioski przybysz z Polski, mógłby się porozumieć z tymi ludźmi w swoim ojczystym języku. Rozmawiali oni czasem w języku tego odległego kraju, a nie znali nawet angielskiego, który w Indiach jest dość

powszechnie używanym, zwłaszcza w miastach, „drugim językiem”.

Nauczyli się polskiego w okresie drugiej wojny światowej, „gdy Brytyjczycy utworzyli w 1943 roku jedno z polskich osiedli”, wyjaśnił Wujastyk.

Maharadża Chhatrapati Shahdżi i maharani Toprani, władcy niezależnego wówczas księstwa Kolhapur, pomogli wybudować obóz w Valivade i nazwę miejscowości przemieniono wtedy na Gandhinagar. Obóz, który znajdował się pod administracją brytyjską, liczył pięć tysięcy osób. Polacy sami jednak zarządzali swoimi sprawami pod kierownictwem niejakiego kapitana Grebenka (?). Tworzyli własną samopomoc, sklepy, restauracje, szkoły i boiska sportowe. Obóz dawał też zatrudnienie miejscowej ludności. Był wzorem czystości i dobrej organizacji. Valivade zyskało na znaczeniu do tego stopnia, że otwarto tam stację kolejową Polish Colony Station. Osiedle zostało zamknięte dopiero w 1948 roku. Polacy rozjechali się do różnych krajów Europy (moi kuzyni osiedlili się w Anglii), Ameryki, Afryki i Australii. W 1975 roku na pobliskich terenach gimnazjum Św. Ksawerego umieszczono tablicę pamiątkową z napisem w języku marathi, angielskim i polskim:

Pamięci siedemdziesięciu Polaków, którzy w drodze

powrotnej do swych domów w Ojczyźnie zmarli na ziemi Indii w latach 1943-1948, Valivade, Kolhapur.

Polacy zostali pochowani na lokalnym cmentarzu, który jest pod opieką rzymsko-katolickiego i anglikańskiego kościoła. Tę informację znalazłem we własnym archiwum.

W rodzinnym archiwum Julity Korewy nie ma zdjęcia domu pani Kiry w Hyderabadzie. Moje filmy z Azji zostały ukradzione jeszcze przed wywołaniem, jak wspominałem, w czasie podróży Dolly przez Pakistan. Brakuje też zdjęcia z Juhu Beach. Nie widziałem wprawdzie tego domu „krytego liśćmi palmowymi”, ale wyobrażam sobie, że nie mogła to być jedynie skromna chata podobna do tych „krytych strzechą”, budowanych w Środkowej Europie. Bywałem w Juhu Beach u znajomych. Pamiętam tę plażę i przyległe rejony położone na północ od Mahim Bay jako ekskluzywne dzielnice. Był tam elitarny klub podobny do żeglarskich klubów opisywanych przez Józefa Konrada Korzeniowskiego.

Zapewne w pamiętniku Pani Kiry, którego fragmenty cytowane były na łamach „Rzeczypospolitej” (29. 07. 00, nr 176) znaleźć by można dokładniejszy opis każdego z domów państwa Banasińskich. Podczas moich rozmów z panią Kirą, twierdziła, że napisze pamiętnik „kiedy się postarzeje”. Wydawało mi się

wówczas, że nie nastąpi to nigdy. Na zdjęciu zamieszczonym przez „Rzeczpospolitą” pani Kira wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach z archiwum Julity Korewy. Najbardziej podoba mi się zdjęcie z pokładu jachtu sunącego po łagodnych falach jakiejś zatoki. Pani Kira uśmiecha się młodzieńczym uśmiechem. Ma ręce założone pod głowę. Ubrana jest w białą sukienkę z krótkimi rękawami. Na nogach ma sandały z grubą plecioną podeszwą, takie jakie widuje się i dziś w sklepach japońskich. Wygląda tak, jak wyobrażam sobie bohaterki powieści Conrada.

Kira Banasińska z domu Ćwirko-Godycka, ur. 1899 na Syberii, zm. 25 maja 2002 w Hajdarabadzie. W 2018 r. wyszła jej autobiografia, wydana przez Polski Instytut Studiów nad Sztuką Świata.



Kira Banasińska

AUTOBIOGRAFIA

POLSKIE LOSY
NA KRAŃCACH ŚWIATA

POLSKI INSTYTUT STUDIÓW NAD SZTUKĄ ŚWIATA
& WYDAWNICTWO TAKO
WARSZAWA-TORUŃ 2018

O innej polskiej działaczce w Indiach, Wandzie Dynowskiej:

<https://www.cultureave.com/gdzie-sie-ganges-toczy/>

Gdzie się Ganges toczy



Wanda Dynowska – Śri Umadevi – polska Jogini,
ambasadorka kultury polsko-indyjskiej.

Ryszard Sawicki

Wąskie ulice Starego Konstantynopola lśniły zmoczone

wiosennym deszczem w świetle ulicznych latarni. Ich lśnienie prześladowało mnie jeszcze wiele miesięcy później, kiedy chodziłem po nagrzanym tropikalnym słońcem ulicach Bombaju. W gorące dni przedmonsunowych miesięcy brakowało mi chłodu wczesnej wiosny, którą zostawiłem daleko nad Bosforem. A brak ten odczuwałem szczególnie mocno, bo musiałem oszczędzać nie tylko na jedzeniu, ale i na piciu, byłem bowiem uchodźcą w egzotycznym kraju, z którego chciałem jechać dalej. Nie wiedziałem jednak kiedy uda mi się przekroczyć kolejną granicę, czy za miesiąc czy dopiero za rok. Takich jak ja uciekinierów nikt nigdy nie przyjmował z otwartymi rękami.

Uciekinier, uchodźca. Bałem się tych określeń, unikałem wymawiania ich nawet w myśli w ojczystym języku. W języku, którego brzmienie wydawać się musiało wszystkim spotykanym przeze mnie codziennie ludziom równie dziwne jak mnie wydawały się dziwne słowa wypowiedane w hindi czy marathi. Angielskie słowo „refugee” wymawiałem z mniejszym lękiem, bo wydawało mi się neutralne. Brzmiało bardziej bezpiecznie, już choćby z tego powodu, że nie od razu kojarzyło się z takimi słowami jak zesłaniec, więzień. W kontaktach z pracownikami banku, do którego zaglądałem co kilka dni oczekując przekazu pewnej ilości gotówki posługiwałem się angielskim. Tak samo jak w urzędach, gdzie starałem się dowiedzieć o możliwości przedłużenia pobytu.

Próbowałem się dostosować do otoczenia, lecz nie było to wcale łatwe. Zwłaszcza z powodu braku pieniędzy. Nie myślałem wtedy o możliwości zatrudnienia w Indiach. Odwiedzałem jednak takie miejsca jak port w Bombaju i starałem się wypytać marynarzy statków rozmaitych bander o to, czy mógłbym pracować na pokładzie by pokryć koszty podróży. Pracownicy the British Bank of the Middle East odpowiadali mi niezmiennie, że żadnej przesyłki nie otrzymali na moje nazwisko, a ja, rekonwalescent szpitalny, snułem się po zatłoczonym bruku miejskim niemal mdlejąc w upale. Mogłem tylko żałować, że nie udały się projekty Banku Polskiego z 1829 roku, popierane przez rząd Królestwa Polskiego, by otworzyć rynek dla polskiego cynku. Na statku z cynkiem i innymi towarami wyruszył do Indii urzędnik tegoż banku, Władysław Małachowski, ale jego misja nie powiodła się z powodu wybuchu powstania listopadowego. Chodziłem więc po ulicach Bombaju, nie mogąc liczyć na pomoc żadnego zamożnego rodaka aż dochodziłem do granic wytrzymałości i wtedy kupowałem kolejną butelkę wody. Za każdym razem, gdy podchodziłem do kiosku z wodą przypominałem sobie nierówny bruk wąskich ulic w okolicy Błękitnego Meczetu w Stambule i chłód wiosennego deszczu. Jednak nie tylko ten widok stawał mi przed oczami. Także i widok pustyni, przez które przejechałem w drodze przez Iran i Afganistan. Przeciąłem wtedy, zapewne kilkakrotnie, szlak polskich uciekinierów z Syberii. Tych, którzy z armią polską szli bić się w ogarniętej drugą wojną światową Europie i tych, którzy nie mieli sił by udać się gdziekolwiek dalej.

Tych, których tysiące znalazły się w czasie drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu na ziemi indyjskiej. Było wśród nich czworo moich kuzynów, syberyjskich dzieci, którym dane było w Indiach powrócić do zdrowia po wyjściu z „niehumanitarnej ziemi”. O nich też pamiętałem, podchodząc do kiosku z wodą, a także przechodząc obok restauracji i tanich barów, do których jednak nie mogłem wejść, bo, podobnie jak moi krewni w latach czterdziestych, nie miałem kieszeni wypełnionych rupiami. Indyjskich żebraków podchodzących do mnie z prośbą o jedną rupię wprowadzałem w zdziwienie wyciągając rękę, pół żartem pół serio prosząc o parę paisa.

Choć mój los był tylko trochę podobny do losów moich kuzynów, to jednak trafiałem i w Indiach na ich ślady, jak i na ślady innych Polaków, którzy byli w Indiach kilkadziesiąt lat przede mną. W Bombaju mieszkałem w instytucie muzycznym założonym przez Ślązaka, Geogra Prokscha, którego ojciec prawdopodobnie znał mego pradziadka z lasów trembowelskich. On wyratował mnie przed utratą zdrowia, jeśli nie także i życia, posyłając do szpitala, za który zapłaciłem tyle ile płaciłoby miasto za indyjskiego żebraka (szpital należał do katolickiego zakonu, podobnie jak instytut, i był położony na terenach podarowanych przez księdza Prokscha). Nie znał on wprowadzić moich kuzynów, ale lasy Trembowli, w których jego ojciec był leśniczym, były lasami jego dzieciństwa.



Ryszard Sawicki, Słonie, rys., pastel na tle malowanym gwaszem.

Ksiądz Proksch ułatwił mi spotkanie z panią Hirabai Petit. W bogatej dzielnicy Malabar Hill odszukałem jej mieszkanie pod 27 numerem przy Nepean Sea Road. Byłem u niej parę razy z wizytą, częstowała mnie obiadem i wspaniałymi perskimi ciastkami, których smaku nigdy nie zapomnę. Podobnie jak nie zapomnę smaku brytyjskich biszkoptów, których małe paczuszki kupowałem gdzie tylko je zobaczyłem, gdy dostałem wreszcie przekaz bankowy.

Ksiądz Proksch nie znał dokładnego adresu pani Hiry. Na jednym z placów Malabar Hill, w pobliżu Parsee Towers of Silence, znalazłem jednak bez trudu wielki pomnik z podpisem na tablicy z brązu: „Erected by numerous friends and admirers as a tribute to the memory of their distinguished and philanthropic fellow citizen Nasserwaiji Maneckji Petit, esq. J.P. in appreciation of his excellent virtues and extensive charity, died 2nd Nov. 1891, aged 64 years” (Pomnik wzniesiony przez licznych przyjaciół i admiratorów ku pamięci filantropa i wybitnego obywatela, Nasserwaiji Maneckji Petita, esq. jako wyraz podziwu dla jego wspaniałych zalet i dobroczynności, który zmarł drugiego listopada 1891 roku w wieku lat 64). Pukając do drzwi kilku mieszkań w sąsiednich kamienicach, dowiedziałem się jaki był adres pani Hiry. Wszedłem do starej, zaniedbanej kamienicy z szerokimi schodami. Na masywnych drzwiach jednego z mieszkań znalazłem kartkę pożółkłego papieru z napisem: „Tibetan Refugees, Maurycy Frydman, H. Petit, Indo-Polish Library” (Uciekinierzy z Tybetu, Maurycy Frydman, H. Petit, Biblioteka Indyjsko-Polska), a poniżej umieszczono jeszcze kilka tybetańskich imion i nazwisk.

Maurycy Frydman (używał też imienia Bharatananda) urodził się w Warszawie w 1901 roku, zmarł tuż przed moim przyjazdem do Indii, w 1976 roku (ja przyjechałem w roku 1977). Do Indii dotarł w 1933 roku, miał pracować jako inżynier przy budowie fabryki przyrządów elektrycznych w Mysore. Budowa fabryki została

ukończona w 1934 roku. W tym samym roku spotkał się z Sri Ramanem Maharishim z Tiruvannamalai koło Madrasu. W 1936 roku poznał Gandhiego, a dwa lata później Krishnamurtiego. Zamieszkał u boku Gandhiego w Sevagram koło Wardha. Był zatrudniony we wspólnocie jako projektant urządzeń dla przemysłu, m.in. zaprojektował kołowrotek do urządzeń włókienniczych. Przebywał wtedy w tych samych kręgach, w których przebywała od 1935 roku Wanda Dynowska, późniejsza tłumaczka wielu książek autorów hinduskich na język polski. Olgierd Budrewicz opisuje spotkanie z nim w domu przy ulicy Nepean Sea w swojej książce „Spotkania z Polakami” wydanej w 1969 roku.

Maurycy Frydman, niski, szczupły, siwy mężczyzna, przyjął mnie w swym bombajskim mieszkaniu wypełnionym antycznymi, bogato rzeźbionymi meblami, marmurowymi figurkami, uczonymi księgami,

pisze Budrewicz w „Spotkaniach”. Przypuszczam, że opisuje mieszkanie Hirabai Petit, u której mieszkał Frydman. *„Zegar ścienny odzywał się kilkakrotnie w czasie naszej rozmowy”*, kontynuuje.

Po mieszkaniu kręciło się mnóstwo ciemnolichych, a bliżej

nieokreślonych postaci. Gospodarz przerywał niekiedy opowieść o swym niezwykłym życiu by porozmawiać z kimś przybyłym lub odebrać telefon.

Podczas moich wizyt, po śmierci Frydmana, mieszkanie pani Hiry było puste. Nie było tybetańskiego tłumu, nikt nie przerywał moich rozmów, które odbywały się w zupełnej ciszy. Tylko ścienny zegar wciąż „mówił” tym samym głosem.

Kiedy przychodziłem z wizytą, drzwi z nazwiskami Hirabai Petit i Maurycego Frydmana zapisanymi na pożółkłej kartce otwierała mi stara hinduska służąca. Składała na powitanie ręce i uśmiechając się bardzo serdecznie zapraszała do środka. Podczas pierwszego powitania podałem jej bilet wizytowy, jeden z niewielu, które udało mi się wydrukować za specjalnym pozwoleniem władz w Polsce. Po dłuższej chwili usłyszałem nierówne, z trudem stawiane kroki. W ciemnym korytarzu zjawiała się mała, zgarbiona kobieta o siwych włosach. Jej twarz była jednak prawie zupełnie pozbawiona zmarszczek. Przeszliśmy razem przez pierwszy, duży pokój wypełniony starymi meblami, obrazami, fotografiami i szafami z wielką ilością bibelotów ustawionych na zakurzonych pułkach. Drugi pokój był podobny, lecz lepiej oświetlony, bardziej przestronny. Pani Petit wskazała jedno z krzeseł stojących przy olbrzymim stole, „witam gościa z Polski”, powiedziała po angielsku.

Usiedliśmy.

Szybko zorientowałem się, że wymiana zdań nie będzie łatwa. Staruszka próbowała naprzód uruchomić aparat słuchowy, lecz po chwili zrezygnowała z tego, podała mi jeden z grubych zeszytów, które leżały na stole. Miałem zapisywać swoje pytania lub odpowiedzi. Mówiła nieco podniesionym, charakterystycznym dla niedosłyszających osób głosem. Od razu zaczęła mówić o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Powiedziała, że właściwie przestała istnieć po śmierci Maurycego Frydmana, że ona boryka się z trudnościami związanymi z wydaniem ostatniej książki, ale amerykańscy przyjaciele niewiele pomagają, bo jest ich coraz mniej. Odpowiedziałem, że liczę się z możliwością imigracji do Stanów, poprosiła więc bym przekazał kilkanaście listów z prośbą o pomoc. Umówiliśmy się, że przyjdę po nie za kilka dni. Zaprosiła na lunch i obiecała dać jedną z ostatnio wydrukowanych książek.

Na Nepean Sea Road zjawiłem się w piątek o jedenastej. Pani Petit kończyła właśnie przyrządzać sos do makaronu. Stały obydwie ze służącą przy małej kuchence ustawionej w rogu pokoju i kłóciły się o to, co która ma robić. Ja miałem siedzieć przy stole i czytać książkę zawierającą teksty rozmów Maurycego Frydmana z hinduskim guru. Nad głową bezszelestnie obracał się duży wentylator, pani Hira nie dopuszczała do kuchenki służącej, a ta nie chciała jej zostawić

samej. Co chwila pojawiały się nuty zniecierpliwienia w ich głosach, lecz nie było w nich śladu zagniewania. Pani Hira wyszła po coś do spiżarni, wtedy zamieniłem ze służącą kilka zdań na temat panujących upałów. Powiedziała, że tego kwietniowego dnia było ponad trzydzieści stopni, ale do czerwca, kiedy zwykle przychodzą monsuny, jest jeszcze daleko, trzeba zachować cierpliwość. Radziła nie chodzić po nasłonecznionej stronie ulic, co, mimo, że po stronie zacienionej jest zawsze duży tłok, jest znacznie lepszym sposobem poruszania się po indyjskich miastach. Stosowałem się odtąd do jej rady i stwierdziłem, że wymijanie ludzi, przystawanie co krok, a nawet potrącanie przez przechodniów jest mniej uciążliwe niż spacer w słońcu, gdzie kiedyś spacerowali *„tylko szczególnie uparci Anglicy... i wściekłe psy”*, jak powiedziała staruszka (zacytowała popularne powiedzenie z okresu brytyjskiego Raju). Przy obiedzie milczymy, bo nie można przecież jednocześnie jeść i pisać w zeszytach. Potem wracamy do rozmowy o Bibliotece Polsko-Indyjskiej. Pani Hira wręcza mi książkę *„Conversations with Sri Nisargadatta Maharaj”* przetłumaczoną z marathi przez Maurycego Frydmana a wydrukowaną pod angielskim tytułem *„I Am That”* (Jestem tym), i każe mi napisać: *„from Maurice Frydman”*. *„Może mam też dodać ‘od Uma Devi’?”*, miałem zapytać, ale Pani Hira właśnie podała perskie ciastka, nie umieściłem więc pytania w zeszycie.

Z Wandą Dynowską nie zdążyłem się spotkać. Zmarła w

misyjnym szpitalu w Mysore 20 marca 1971 roku. Nie zdążyłem porozmawiać z nią ani o Bibliotece Polsko-Indyjskiej, ani o jej pracy przy ambasadzie polskiej w Bombaju. Nie zapytałem też czy pamięta kilkunastoletniego chłopca z twarzą naznaczoną zmarszczkami, który miał na imię Franciszek, ani o jego dwóch młodszych braci i siostrę. Franciszka Gana i jego rodzeństwo, moich kuzynów, poznałem w latach osiemdziesiątych w Anglii, gdzie dostali się po długiej rekonwalescencji w Indiach. Ich ojciec był przed wojną komisarzem policji w Buczacu, a takich ludzi i ich rodziny Sowieci uznali za „szczególnie niebezpiecznych”. Oprócz policjantów byli to także oficerowie, nauczyciele, pisarze, księża, urzędnicy administracji państwowej, działacze polityczni, przedsiębiorcy, kupcy, rzemieślnicy, kolejarze, pocztowcy i leśnicy. Spośród moich krewnych i ich znajomych, bardzo wiele osób należało do tych właśnie grup społecznych. Toteż wielu z nich podzieliło los rodziny Ganów. Byli aresztowani, deportowani, ginęli bez wyroku lub z wyroku opartego na fikcyjnych oskarżeniach. Trafiali do łagrów nad Kołymą, pod Świerdłowskiem i w innych rejonach „niehumanitarnej” czyli Kraju Rad.

Po zajęciu Buczacza przez oddziały Armii Czerwonej w 1939 roku komisarz Gan został zamordowany wraz z żoną w swoim domu. Dzieci zostały zabrane z domu, wywiezione na Syberię i umieszczone w oddzielnych obozach. Najstarszy z nich, Franciszek, zdołał sprowadzić rodzeństwo do jednego obozu,

dzięki czemu cała czwórka opiekowała się sobą wzajemnie i mogła przetrwać. Wyjechali z Syberii z Armią Andersa. Ponieważ byli jednak zbyt osłabieni pobytem w łagrach i chorobami, musieli naprzód przejść rekonwalescencję. Skierowano je do Indii, gdzie w lepszym klimacie wracali powoli do zdrowia. Pamiętam, że podczas naszych rozmów w Anglii, Franciszek kreślił na kawałku papieru mapę obozów dzieci polskich w Rosji i kierunki deportacji. Pojawiło się na niej mnóstwo punktów od Morza Białego po jezioro Bajkał, a linie oznaczające przemieszczenia prowadziły z północy na południe i południowy-wschód. Znalazłem odpowiednik tej mapy w publikacji pod tytułem „Z Kresów przez Afrykę” (wspomnienia opracowane przez Ryszarda Sławczyńskiego, wydane przez Klub Muzyki i Literatury we Wrocławiu w 2001 roku). Była ona skopiowana z opracowania Ł. Z. Królikowskiego pt. „Skradzione dzieciństwo” (Kraków 1991). Franciszek mówił o sierocińcach w Indiach, ale wspominał też o osiedlach, które powstały w Afryce. W jego opowieści mieszały się więc nazwy miejscowości z różnych stron świata: Samarkanda, Karaganda, Tomsk, Irkuck, Pahlewi, Karaczi, Kolhapur, Mombasa, Masindi. Brzmiały te nazwy i dla mnie nie obco, bo sam przejechałem przez Turcję, Iran, Afganistan i Pakistan w drodze do Indii, a parę lat wcześniej zwiedzałem Taszkient, Samarkandę i Bucharę podczas studenckiej wycieczki. Jednak nie byłem nigdy we Wschodniej Afryce, dotknąłem tylko północnego krańca tego olbrzymiego kontynentu i to po latach, które upłynęły od naszej rozmowy na

Wyspach Brytyjskich. Franek został w Anglii wykładowcą jednej z uczelni technicznych, miał żonę i dzieci. Pokazywał mi kolorowe zdjęcia ze szkół i uczelni swoich synów, tak różnych od szkół w jakich uczyły się polskie dzieci w latach czterdziestych w Teheranie i Awhazie, gdzie jedynym podręcznikiem był „Polak w Iranie”.

Franek opowiadał o swoich przeżyciach wielokrotnie. Nie tylko ja byłem jego słuchaczem. Do Anglii dotarły też inne polskie dzieci z Syberii i Indii. Po latach, założyli oni w Londynie Koło Polaków z Indii. W 2000 roku Koło wydało książkę zawierającą kopie dokumentów i wspomnienia z tamtych lat („Polacy w Indiach 1942-1948 w świetle dokumentów i wspomnień”, Londyn, Koło Polaków z Indii, 1942-1948, 2000). O Wandzie Dynowskiej jest tam sporo informacji, podobnych do tych, które ukazały się po jej śmierci w czasopiśmie polskich publikowanych na obczyźnie. Irena Hradyska była sekretarką Dynowskiej w latach 1946-1948. Obie panie spotkały się na obczyźnie, w Indiach, a połączyła je wspólna praca dla ojczyzny. W tym okresie Dynowska, jak pisze jej sekretarka, przejęła wiele obowiązków zlikwidowanego konsulatu polskiego, z którym była związana w okresie wojny. Kira Banasińska, żona konsula Eugeniusza Banasińskiego, pisała o tej przeprowadzce do swego krewnego Onufrego Korewy, że pod koniec 1944 roku wyjechała z mężem do Lodnyu, gdzie mąż dostał przydział w MSZ, „ale już wszystko się kończyło”. Wyjaśniła też, że podobnie jak wielu innych Polaków, nie czuli się

dobrze w brytyjskiej stolicy. Nastroje te podzielał też mój ojciec, który wyjechał z Wysp Brytyjskich do Polski w 1947 ze względu na, jak mówił, „nieznośną atmosferę”. Pani Kira napisała dyplomatycznie w liście do rodziny, że wrócili bo „w Indiach mieli wielu przyjaciół” (list Kiry Banasińskiej z 20 stycznia 1965 roku, wysłany z Indii do Polski, który cytowałem w artykule pod tytułem „Dom na wzgórzu”, Zesłaniec nr 14/2003).



Wanda Dynowska wraz z Maurycem Frydmanem stworzyli Bibliotekę Polsko-Indyjską.

Dynowska i Hradyska umiały ocenić tę atmosferę z dużej

odległości, nie próbowały szczęścia tam, gdzie czuć się mogły jak niechciani intruzi. Hradyska napisała w swoim wspomnieniu o Dynowskiej, że po wojnie zajmowały się z Wandą Dynowską „prostowaniem komunistycznych banałów”, co, jak się domyślam, łączyło się z ich działalnością publicystyczną. Tak więc obydwie Polki zajmowały się sprawami narodowymi już po oficjalnym wyjeździe dyplomatów polskich do Londynu. W tym samym artykule Hradyska pisze jednak dużo więcej o wcześniejszej działalności Dynowskiej w Indiach.

Gdy Uma Devi była pochłonięta walką o niepodległość drugiej ojczyzny, gazety przyniosły do Indii hiobową wieść: ‘Dziś nad ranem 1 września Niemcy napadły na Polskę, wojna w Europie’. Z miejsca przedzierzgnąwszy się z kobiety w sari w europejską podróżniczkę, Wanda Dynowska ruszyła w drogę do Polski. Gdy dotarła do Rumunii, zastała uchodźców, rozbite jednostki wojskowe, rząd i ludzi, z którymi kiedyś łączyło ją tak wiele w czasach pracy niepodległościowej z Józefem Piłsudskim. Teraz było już po wszystkim. W pierwszym porywie chciała przedrzeć się do Polski. Iść pod prąd tych, co uciekali na Rumunię. Nie udało się. Pierwszy chyba raz w życiu pokonana, wróciła do Indii. Została zatrudniona w dziale propagandy, przysparzając wielu kłopotów pracownikom MSZ. Nie można sobie wyobrazić dowcipniejszej kombinacji, z jednej strony

panowie w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach, z minami zapożyczonymi od Edena, pedantyczni, dobrze ułożeni, owijający wszystko w dyplomatyczną bawełnę, traktujący Indusów z pobłażliwą wyższością, zupełnie nie interesujący się kulturą i religią tego kraju, z drugiej strony kobieta depreczująca konwenanse bosą stopą w sandałach, odziana w ręcznie tkane samodziały, z czerwoną kropką wymalowaną między brwiami na znak praktykowania hinduizmu, nie dająca się nagiąć do urzędowych godzin, wprowadzająca chaos do szufladek i kartotek, mówiąca wszystko, co na myśli i sercu, bez ogródek. (Wspomnienie Hradyskiej drukowane w londyńskich „Wiadomościach” w 1960 roku).

Muszę przerwać w tym miejscu wywód pani Hradyskiej i dołączyć małe sprostowanie. Otóż, być może wielu pracowników konsulatu polskiego przyjęło maniery ich brytyjskich kolegów, ale nie wszyscy byli „panami w bez zarzutu skrojonych tropikalnych garniturach” i nie wszyscy ignorowali hinduskie otoczenie. Jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek Kiry Banasińskiej była jedna z córek nizama Hajdarabadu (nizam, to, początkowo, jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, tytuł zarządców prowincji Dekan w Indiach za panowania dynastii Wielkich Mogołów, potem, od 1724 roku, tytuł uzależnionych od tejże dynastii władców Hajdarabadu). Pani Kira dzieliła z nią

przez wiele lat mieszkanie w wielkiej willi na wzgórzu nad Hajdarabadem. Obydwie staruszki do późnej starości szanowały się i rozumiały doskonale. Sam to obserwowałem podczas wizyty w Hyderabadzie. Państwo Banasińscy nie mogliby prowadzić tak szeroko zakrojonej pomocy polskim uchodźcom z Syberii, gdyby nie ich bliskie kontakty z Hindusami.

W pomoc Polakom zaangażowana też była Wanda Dynowska. Wprawdzie z konsulatem łączyły ją sprawy służbowe, jednak często dochodziło do starć, a nawet zerwań i rozstań. Hradyska wspomina, że

nie ona była stroną przepraszającą, bo jej kontakty z wysoko postawionymi w świecie induskim osobami były zbyt potrzebne konsulatowi by je wraz z „Umeczką” odrzucić.

Nie chcę wdawać się w dyplomatyczne spory na temat tych kontaktów, oddam więc głos Kirze Banasińskiej, która w swych wspomnieniach zanotowała, że już w październiku 1939 roku zorganizowała w domu spotkanie pań, które zająć się miały organizowaniem pomocy.

Odzew był natychmiastowy. Powstał komitet pań, które zajęły się gromadzeniem wszelkiego rodzaju darów, głównie

ubrań, leków i żywności. Dom nasz stał się swoistym karawanserajem, otwartym dla wszystkich grup polskich wojskowych trafiających do Indii z Rosji przez Afganistan. Konieczna też była zgoda władz Indii na przyjęcie przynajmniej sierot. Udało się to osiągnąć dzięki osobistym staraniom moim i Eugeniusza (fragment wspomnień opublikowany w dodatku „Plus Minus”, Rzeczpospolita, 2000).

Wnosić więc należy z tych cytatów, że współpraca wielu osób, także pań z konsulatu, choć nie zawsze harmonijna, była jednak możliwa. Hradyska pisze zresztą nie tylko o konfliktach, ale właśnie o tej współpracy. Z ramienia konsulatu Dynowska objeżdżała Indie z odczytami o Polsce, zbierała dary dla Polskiego Czerwonego Krzyża, wydawała informacyjny biuletyn w języku angielskim, który był serwisem prasowym naświetlającym sytuację kraju pod obydwu okupacjami. Założyła nie tylko Bibliotekę Polsko-Indyjską, ale i Stowarzyszenie Polsko-Indyjskie.

Z przyjazdem do Indii 5,000 zesłańców z Syberii i Kazachstanu, zaczął się dla niej nowy, jeszcze czynniejszy rodzaj życia. Na parę lat trzeba było zapomnieć o medytacjach w aszramach induskich. Żywi ludzie, tylko co zwolnieni katorżnicy, a zwłaszcza dorastająca młodzież

oderwali ją od świata mistyki. Im chciała pokazać Indie, z ich głębią myśli filozoficznej, a Indiom odkryć duszę Polski, jej historię, kulturę. Uważała, że oba narody łączy mimo odległości geograficznej nie podobieństwa. W ciągu pięcioletniego pobytu uchodźców w Indiach była częstym gościem w osiedlach polskich, szczególnie w obozie Valivade koło miejscowości Kolhapur. Na odczytach jej było zawsze przepełnienie (wspomnienie o Dynowskiej, pióra Hradyskiej, publikowane w londyńskich „Wiadomościach” w 1960 roku).

U jej boku i pod jej wpływem dorastało kilkoro ciekawych ludzi, choćby Danuta Irena Bieńkowska, Bogdan Czaykowski i Jerzy Krzysztoń, autor ‘Opowiadań indyjskich’ oraz dwu powieści „zesłańczo-wolnościowych” zatytułowanych „Wielbłąd na stepie” i „Krzyż Południa”. Akcja pierwszej dzieje się w latach 1940-1942 na terenach Kazachstanu i Uzbekistanu, drugiej zaś w latach 1942-1944 w Persji. W obu utworach autor wykorzystuje osobiste doświadczenia i wspomnienia z tamtych lat, których był świadkiem jako dorastający chłopiec. Daje opis zesłańczych dziejów, losów rzesz Polaków zagnanych przez sowieckie władze w dalekie azjatyckie strony, ich trudnych przeżyć, dramatycznych doświadczeń, upartych nadziei (o tych dwóch książkach przypomniał mi prof. Antoni Kuczyński).

Przyjazd Dynowskiej do obozu oznaczał ożywienie życia

kulturalnego, kontrowersje, „kij w mrowisku”. Być może przypominała rodakom o tym, że nie oni pierwsi przybyli z Polski do Indii. Może mówiła nie tylko o Małachowskim, ale i o Krzysztofie Pawłowskim, który wziął udział w portugalskiej wyprawie do Indii w 1596 roku. I o Pawle Palczewskim, który czynił *„wielkie peregrynacje po Indii orientalnej i occidentalnej”*, o czym wspomina w swej *„Kolędzie moskiewskiej”* wydanej w 1610 roku. Jan Kochanowski napisał wiersz pod tytułem *„Nagrobek Kretkowskiego”* i podał, że ten kasztelan brzesko-kujawski i gnieźnieński studiował w Padwie, a za Zygmunta Augusta posłował do sułtana tureckiego i był *„gdzie się Ganges toczy”*. Maciej Sarbiewski uczcił też wierszem wyjazd do Indii jezuitę Andrzeja Rudominy. W 1736 roku na misję do Malabaru wyruszył z Polski Mikołaj Szostak i został po latach biskupem Werapuli. W książce *„Historia de Goa”* de Saldhana wspomina o Polaku, który walczył przeciw oddziałom portugalskim w obronie fortu Diu pod imieniem Mustafa Khan. Dostał się do niewoli, pracował przy budowie portugalskich fortów i był znany pod imieniem Gaspar da Gama.



Ryszard Sawicki, India Varanasi, rys, pastel na tle malowanym gwaszem.

Dynowska chciała przybliżyć polskim uchodźcom kulturę Indii. Rozporządzając drobnymi tylko funduszami zebrała na wycieczkę krajoznawczą po Indiach kilkadziesiąt dziewcząt i chłopców. Objechali spory szmat Indii, od Maharasztry, w której był położony obóz, po Cape Comorin, tańcząc i śpiewając w strojach narodowych, zbierając z przedstawień pieniądze wystarczające na przeżycie od postoju do postoju. Pomyśleć tylko jaką energię miała ta już wtedy blisko sześćdziesięcioletnia kobieta”, pisała Irena Jeziorkowska, która spotkała Dynowską w Londynie w 1964 roku. Dynowska zjeżdżała z odczytami o walczącej Polsce prawie całe Indie, dodała Jeziorkowska (Irena Jeziorkowska, „Biblioteka polsko-indyjska”, Wiadomości 1964). Podnosiła też rodaków na duchu, wielu chorym ułatwiała dotarcie do lekarzy i do szpitali. Przynosiła ze sobą uśmiech, miłość i niezapomnianą atmosferę. W swojej książce „All for Freedom” (Wszyscy dla wolności) tłumaczyła hinduskim czytelnikom skomplikowane sprawy związane z powstaniem warszawskim.

Po wojnie, jak pisze Hradyska, kiedy Indie odzyskały niepodległość, a w Jałcie przypieczętowano nowy zabór Polski, Dynowska współpracowała nie tylko ze swoją sekretarką, lecz i z Hariszcandrą Bhatem, zatrudnionym wcześniej w polskim

konsulacie, pośmiertnie uznanym za jednego z największych poetów hinduskich. W tym też okresie zajmowała się Biblioteką Polsko-Indyjską. Od 1944 do 1971 roku zostało opublikowanych 127 pozycji w ramach biblioteki. Jednak i wtedy angażowała się w prace społeczne, podobnie jak w Polsce przed wojną i w czasie wojny oraz w Indiach do śmierci Gandhiego.

W 1960 roku, gdy wojska chińskie załapały Tybet i tysiące Tybetańczyków wraz z Dalaj-Lamą uchodzić musiało z Lassy, Dynowska poświęciła się pracy dla uchodźców tybetańskich. Pracuje w Dharmsali w otoczeniu Dalaj-Lamy, potem zostaje przełożoną ochronki dla Tybetańczyków w Bylacupe, sto kilometrów od Mysore. Postawa Hindusów po śmierci Gandhiego głęboko ją rozczarowała, przyjęła więc buddyzm i złożyła śluby zakonne. Wieloletni wysiłek nadwątlił jednak jej zdrowie. Znalazła się w internacie sióstr Nimala Convent w Mysore. Odwiedził ją tam polski ksiądz, Marian Batogowski, wychowawca chłopców Boys Home w Mysore. Wysłuchał spowiedzi, udzielił ostatniego namaszczenia i pierwszej komunii. Zapisał wtedy: „Jeśli kiedykolwiek mogłyby powstać zastrzeżenia natury formalno-prawnej na temat jej powiązań z teozofią i buddyzmem, odpowiedź będę miał jasną i pełną świadomości, iż jeśli podobna postawa i dyspozycja była w całej masie nas, kapłanów i katolików, których bez oporów przyjmujemy i udzielamy sakramentów świętych – bylibyśmy społeczeństwem pięknym i świętym; wierzę, że spełniło się jedno z zaskakujących misteriów

Bożej dobroci i miłosierdzia” (cytat pochodzi z noty biograficznej opublikowanej we wspomnianej już książce „Polacy w Indiach”). Dynowska wróciła przed śmiercią do religii katolickiej. *„Krańcowa jej natura nie mogła w niczym znaleźć umiarkowania”*, napisała Hradyska na zakończenie swego artykułu. Tego, który rozpoczęła od zdania:

Była tak barwna jak te kolorowe sari okrywające ją przez kilkadziesiąt lat, od chwili gdy wyjechałszy z Polski postanowiła resztę życia spędzić w Indiach.

Sądzę, że jej młodość była tak samo kolorowa jak późniejsze lata. Urodziła się w Petersburgu. Dzieciństwo i młodość spędziła nad jeziorem Istal w polskich Inflantach, wśród przyrody, której umiowanie graniczyło z kultem. Matka Wandy, Helena z Sokołowskich, wprowadziła córkę w świat duchów przyrody, a sama uchodziła za jasnowidzącą. Matka opowiadała dziecku nie tylko o roślinach leśnych lecz i o elfach i skrzatach. Pokój dziecinny Wandy był wypełniony kłosami zbóż i traw, kwiatami i nasionami kwiatów, gałęziami i zasuszonymi liśćmi. W otwartym domu rodziców w Istalsno skupiało się towarzystwo pisarzy, malarzy i polityków. Tam poznała Tadeusza Micińskiego z Warszawskiego Towarzystwa Mistycznego i odtąd datuje się jej zainteresowanie mistycyzmem. Z wybuchem wojny w 1914 roku wyjechała z matką do Jałty, odwiedziła Moskwę. W 1919

przyjechała do Warszawy i nawiązała kontakt z członkami Towarzystwa. Już wtedy zajmuje się pracą redakcyjną, redaguje czasopismo „Myśl teozoficzna”, a później „Biuletyn teozoficzny”. Tłumaczy też książkę Krishnamurtiego „At the Feet of the Master”. Wszystkim pracom oddaje się z wielkim zaangażowaniem, sprzedawała nawet swą biżuterię by móc wyjechać do Paryża na spotkanie z Annie Besant i Krishnamurtim. Studiowała w Krakowie, Lozannie i Paryżu. Podczas przewrotu w 1926 roku była kurierką marszałka Józefa Piłsudskiego, a jej poglądy życiowe i pisarstwo kształtował profesor Limanowski.

O życiu prywatnym Dynowskiej niewiele jednak wiadomo. Kazimierz Tokarski twierdzi, że miała narzeczonego imieniem Szczęsny, który zginął w potyczce z wojskami sowieckimi pod Baranowiczami w 1920 roku. Podobno bardzo odczuła tę śmierć i dlatego pozostała samotną osobą przez resztę życia. Choć nie spotkałem się z Wandą Dynowską podczas podróży indyjskich, jej obecność w Bombaju i innych miastach wydawała mi się uchwytna. I nie tylko w Indiach. Myślałem o jej pracy już wtedy, gdy z kuzynem Franciszkiem i jego rodzeństwem rozmawialiśmy w Anglii o ich cudownym niemal uratowaniu z bolszewickiej katorgi. Książki, które tłumaczyła i kolportowała, docierały do Polski nawet przed moim wyjazdem z kraju w 1977 roku.

Kiedy stanąłem pod drzwiami domu przy Nepean Sea Road,

pomyślałem o niej raz jeszcze. Chodziłem po Bombaju po jej śladach, a nawet i w Hyderabadzie, patrząc na pogrążoną w lekturze Koranu córkę nizama, przyjaciółkę Kiry Banasińskiej, wydawało mi się, że widzę postać Dynowskiej pochyloną nad stronami Bhagavad Gity.